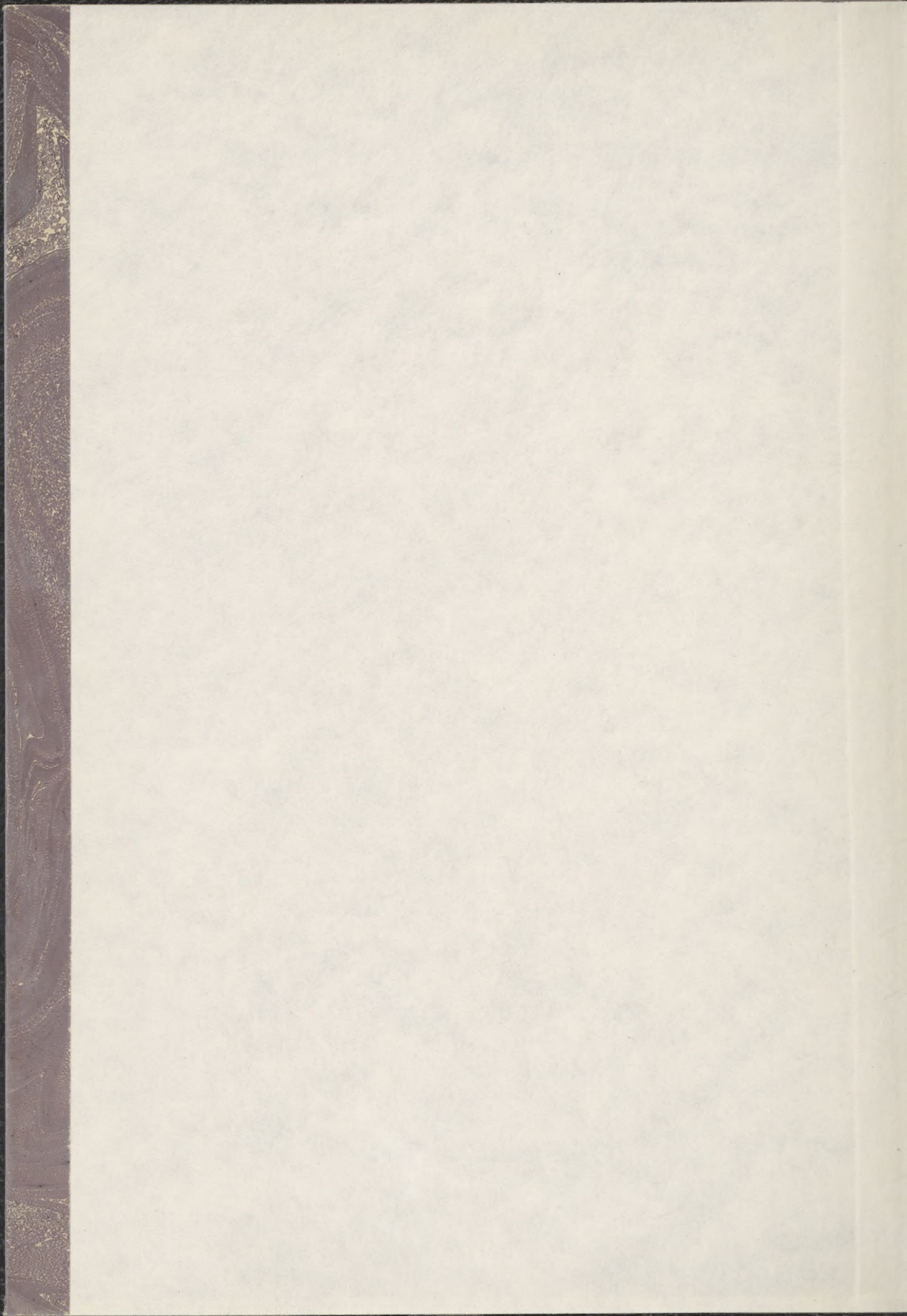
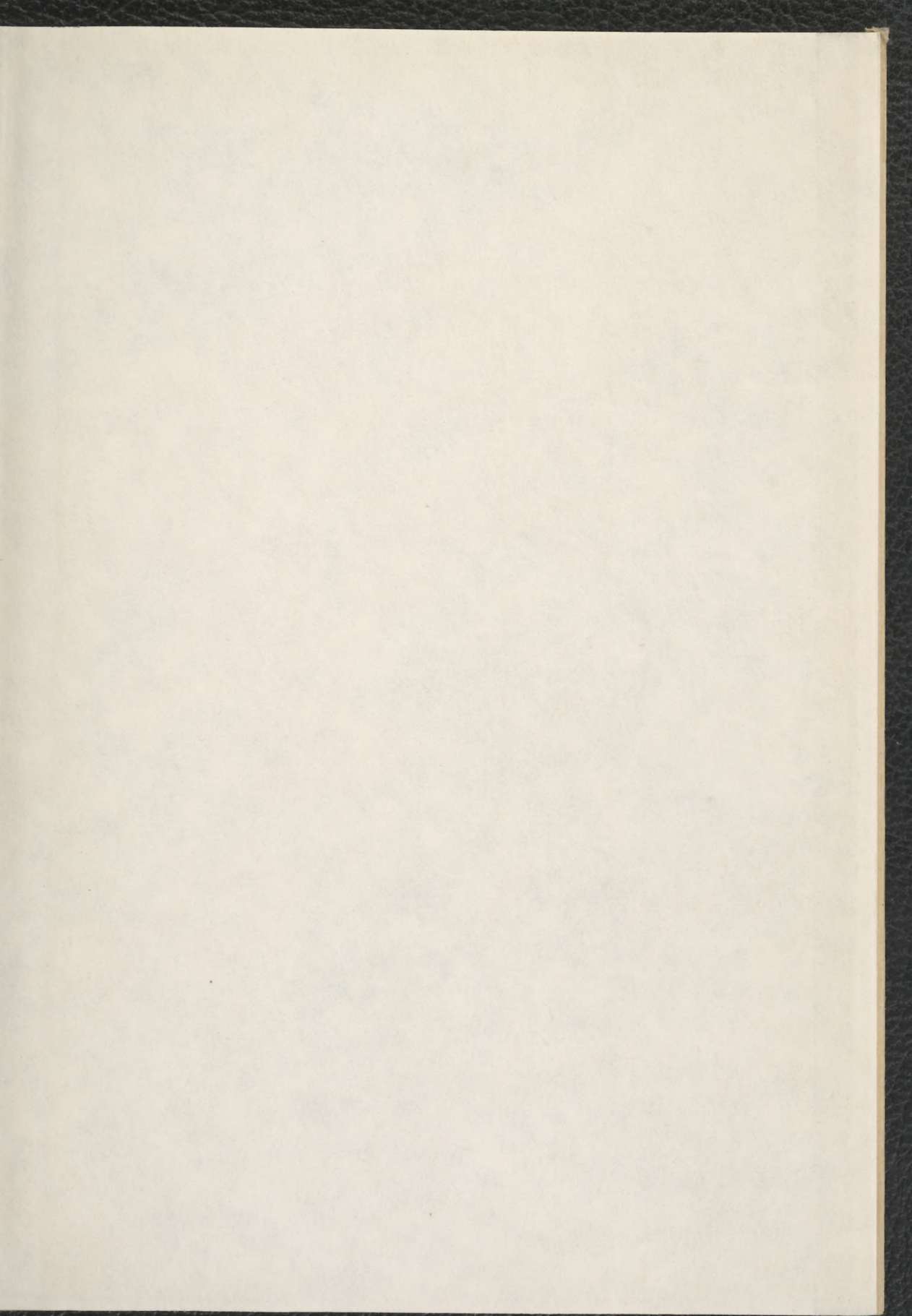
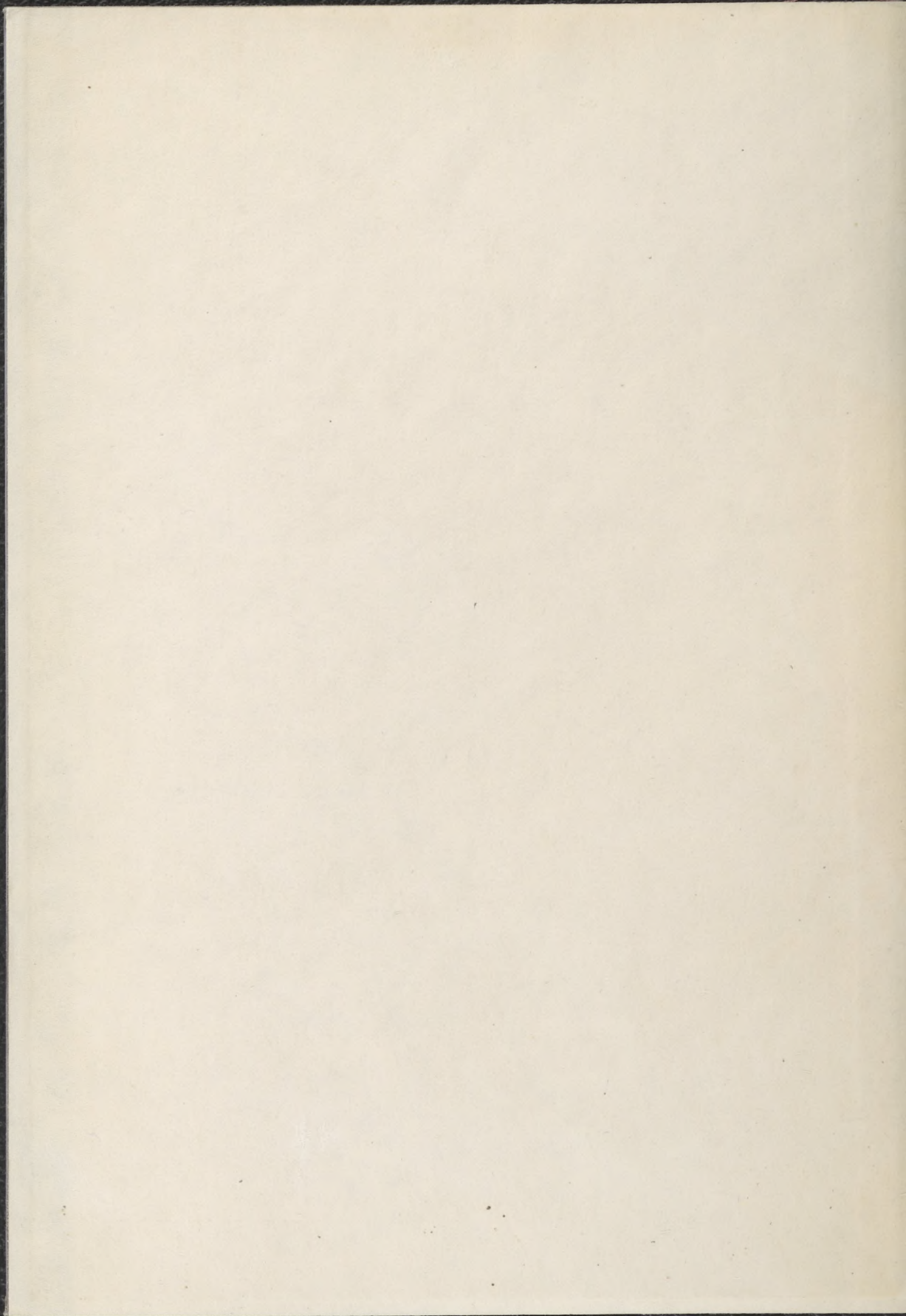


1419250









m. Ładysławski



*2 bajki
Filmowe*

dla starszych dzieci

k.a. - aut.



II 1413.250

A

1998 9 715 / 64

Jak Pokraka chciał zjeść raka.

Raz Pokraka chciał zjeść raka,
Chciał zjeść raka raz Pokraka.

Wciąż utarte zjadać racje
Już znudziło się Pokrace.

Raz pożywi się inaczej —
Niechaj rakiem się uraczy!

Postanowił więc Pokraka
Zaraz dzisiaj kupić raka.

Trzeba iść na targowisko —

Targowisko było blisko
I ktoś inny, nie Pokraka,
Za pięć minut miałby raka.

Lecz u niego nie tak zaraz...

Z ubieraniem był ambaras —

Wszystko idzie mu pokracznie:

Tu nie skończył, tam już zacznie,

Szelki szepił gdzieś z podwiązką,

Nogom w spodniach jest za wąsko,

Bo w nogawkę—powiem Tobie—

Pchał przez siłę nogi obie.

Ledwo z niej wyciągnął nogę

Zwalił krzesło na podłogę.

Tak godzina przeszła cała,

Nim Pokraka się ubrała.

Wreszcie zabrał dwie walizki

I na targ podążył bliski.

Na bazarze w gwarnym tłumie

Raków znaleźć znów nie umie.

Wszystkich pyta: „Gdzie są raki?“

„A odejdz—że siaki taki!“



Tak kołował trzy kwadranse,
Stracił—zda się—wszystkie szanse,
Aż tu idąc nasz Pokraka —
Stąpnął nogą wprost na raka!

Zdziwiło się Pokraczysko,
Że tak szczęście bywa blisko.
Rak wspaniały i wąsaty
I z wyglądu był żonaty!

Ucieszony nasz Pokraka
Chciał zrabować ręką raka,
Lecz, że rak był dosyć rączy —
Pośród palców się przesączył!

Chciał go schwycić poraz drugi,
Ale złożył się jak długi!
Na dobitkę pan rak jeszcze
Raczył chwycić go w swe kleszcze...

Wielka widzów w krąg gromada
Ze śmiechu się aż pokłada.
A Pokraka nasz za rakiem
Na walizce swej okrakiem

Podkrada się krok za krokiem,
Przeokropnie łypiąc okiem.
Rak wymyka się i chowa,
Więc go szuka wciąż od nowa,

I tak z kwadrans już pokraka
Poluje na swego raka.
Zdażył zbić już komuś miskę,
Ktoś mu jedną skradł walizkę,

Drugą — gdy otwierał wieko —
Jakiejs pani wylał mleko.





Gapiów wokół, że aż czarno!
 Ktoś zawezwał straż pożarną,
 Inny, widząc ludzi mrowie —
 Ratunkowe Pogotowie.
 A z dwu stron znów dwa oddziały
 Policjantów nadjechały.

Nie wiem, co by było wreszcie,
 Gdyby—wierście, lub nie wierście—
 Nie to, że rak, szалу bliski,
 Sam się schował do walizki!

Nasz Pokraka trzasnął wieko,
 Za wylane zwrócił mleko,
 Za rozbitą zwrócił miszkę
 I — ostrożnie wziął walizkę.

Tłum się rozszedł falą gwarną...
 Zawrócono straż pożarną,
 Pogotowie Ratunkowe
 Pojechało w miejsce nowe

I policji dwa oddziały
 Do swych siedzib odjechały.

A tymczasem nasz Pokraka
Do mieszkania niesie raka,
Nasłuchując, czy w walizie
Rak po spodzie jeszcze lizie.



I — tak idąc z wielkim strachem
Znalazł się pod swoim dachem.
Zamknął drzwi na cztery spusty
I pocieszył brzuch swój pusty.

„Proszę niechaj pan nie kracze,
Bo wnet rakiem cię uraczę!“
Zdjął ogromny z półki kocioł,
Od dźwigania aż się spocił

Wody nalał, co się zmieści
I na kuchni go umieścił
Tu zamyślił się Pokraka:
„Jak z walizki wyjąć raka?“



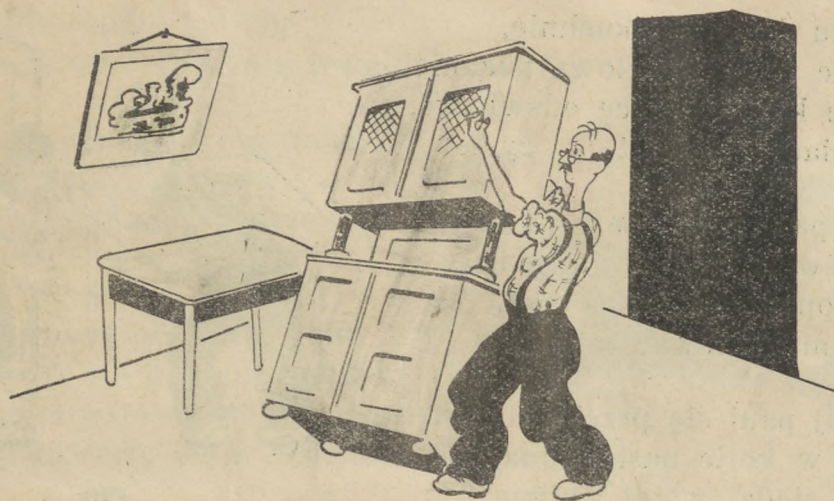
Jak otworzy nieopatrznie —
Rak mu znów uciekać zacznie,
Jak nie zwolni go z więzienia —
To nie będzie miał jedzenia.

Tak niedobrze i tak bieda,
Chyba sobie rady nie da!
Nagle do Pokraki głowy
Wpadł genialny koncept nowy —

Powynosi z kuchni rzeczy,
To się świetnie zabezpieczy —
Bo, gdy zacznie rak wędrówki,
To nie będzie miał kryjóWKi.

Aż podskoczył ze trzy cale,
Że obmyślił tak wspaniale.





A że z głodu aż się śłaniał,
Wziął się wnet do przestawiania.

Naprzód się za kredens bierze.
Potłukł przy tym trzy talerze,
Sześć kieliszków i pięć szklanek,
Oprócz tego jakiś dzbanek.

Tak pracując w wielkim znoju
Wypchnął go do przedpokoju.
A gdy z hukiem i łoskotem
Ciężki stół wynosił potem,

Z jeszcze większym ktoś hałasem
Zaczął walić w drzwi obcasem.
Darmo udać by się trudził,
Że w mieszkaniu nie ma ludzi.

Odrygłował cztery spusty
I zobaczył korpus tłusty
Pani starszej, ale chyżej,
Co mieszkała piętro niżej.

Z wielkim krzykiem wpadła z sieni
I ze złości, aż się pieni:

„Pan tu demoluje kuchnię,
A mnie w domu głowa puchnie!
Że pan kuchnię chce odświeżyć,
To sąsiadka ma już nie żyć?!“

„Ależ pani jesteś w błędzie!
Tu odświeżać nikt nie będzie.
Jest poprostu sprawa taka,
Że mam ugotować raka.“

Niechaj pani się przekona:
Woda w kotle nastawiona,
A rak siedzi w tej walizie.
Gdy otworzę — to wylizie,

Jak wylizie, to się schowa.
Lecz co głowa, no to głowa! —
Jak usunę z kuchni wszystko,
To gdzie schowa się raczysko?“

Oniemiała niby skała,
Bo lat wiele gotowała
I nie jedno znała w świecie,
Nie widziała tego przecie,

By, gotując pożywienie,
Ktoś wynosił urządzenie.
„Ależ z pana jest pokraka!
Dawaj—no pan tego raka!“

Ugotuję go za chwilę —
Poco robić kramu tyle?
Ugotuję i przyniosę...
No, co pan tak kręci nosem?“

„Że znów umknie mam obawy“
„Chyba temu, kto niemrawy“



Uchyliła wieko śmiało
I trzech sekund to nie trwało

Jak chwyciwszy ręką raka,
Wyciągnęła nieboraka.
W nos Pokrace się zaśmiała
I wybiegła niby strzała.

Aby skrócić czas czekania,
Wziął się do porządkowania.
Lecz, nim wstawił stół z powrotem,
Drzwi otwarły się z łoskotem

I sąsiadki postać miła
Znowu w kuchni się zjawiała,
Na talerzu niosąc raka —
Czerwonego nieboraka.

Postawiła go na stole,
Oznajmiając swoją wolę:
„Proszę pana, o to chodzi,
Żeby dzisiaj pan dobrodziej

Nie przestawiał mebli dalej,
Bo mi w garnki tynk się wali.
Za to jutro przed dwunastą,
Kiedy muszę wyjść na miasto,

Niech pan skończy przestawianie,
No, a teraz żegnam panią!
Niech się pan nacieszy rakiem
I spożyje go ze smakiem.“

„Dzięki składam, żegnam panią“
Rzekł i drzwi zatrzasnął za nią.
Teraz wreszcie się uraczy
I dowie się, co rak znaczy.



Ale — tak wytworne jadlo —
 Jakże jeść tak, jak popadło!
 „Trzeba czymś przyprawić raka” —
 Myśli sobie pan Pokraka

I zagląda do kredensu.
 „Hm... Musztarda?... nie ma sensu.
 Może ocet lub oliwa...”
 Nagle wpada myśl szczęśliwa:

Tam na półce, gdzie widełce
 Stoi jakiś płyn w butelce.
 Choć nalepka na niej stara,
 Lecz odczytać da się: „Arak”.

„Jasne — myśli — że ciecz taka
 Przeznaczona jest do raka.”
 Nie kłopotując się więc długo,
 Polał raka ciemną strugą,

Wziął widelec w rękę prawą
 I nad nową myśli sprawą:
 „Jak napocząć tego zwierza?”
 Kleszczom jakoś nie dowierza,

„Zacząć z tyłu? — Niezbyt ładnie,
 Więc od środka jeść wypadnie.”
 Postanowił i dźga śmiało
 Kłębem widełca raka ciało.

Skutek ciosu jest straszliwy,
 Bo widelec — gad złośliwy —
 Zsuwa mu się po skorupie
 I na czworo talerz łupie. —

A rak, choć ugotowany,
 Skoczył żwawo aż do ściany.



Prędko zerwał się Pokraka
I z podłogi podniósł raka.
„Co ty” — „mówi” i po śmierci
Będziesz mi się jeszcze wiercił?!

Myślisz, że ci nie dam rady,
Że mam głowę od parady?!
Takiś ważny, żeś w skorupie,
Sądzisz, że cię nikt nie schrupie?!“

Tak się złości nasz Pokraka
I pakuje w usta raka.
Ale, ledwie ścisnął szczęki,
Z ust wyrwały mu się jęki,

Zgniecionego wypluł raka
I z rozpaczy aż zapłakał.
Usłyszawszy płacz sąsiada
Znowu doń sąsiadka wpada,

A ujrawszy hecę nową,
Pokiwała tylko głową
I powiada mu złośliwie:
„No cóż, wcale się nie dziwię,

Bo rzecz prosta jest, że raki
Przysmak to nie dla pokraki.“



Poszedł Marek na jarmarek...

Żeby kupić oś. —

Bo tak było: w poniedziałek
Jadąc zбочzył w rów kawałek
I chrupnęło coś.

Wylazł z wozu, przysiadł w rowie,
Myśli, drapiąc się po głowie:
„Chyba pękła oś“

Chciał spróbować jechać dalej:
Oś odpadła, wóz się zwałił —
„Bierz teraz i noś“.

Jak we żniwa być bez woza,
A pożyczać znów — to zgroza:
Wszystkich wokół proś...“

Więc powiada swojej Zośce:
„Trza pomyśleć by o ośce;
Innej rady brak.“

Zośka owszem, bardzo miła,
Lecz ogromnie skąpa była
Więc powiada tak:

„Innym lezie grosz do grosza,
Mogli sypać by do kosza —
U nas idzie wspak!

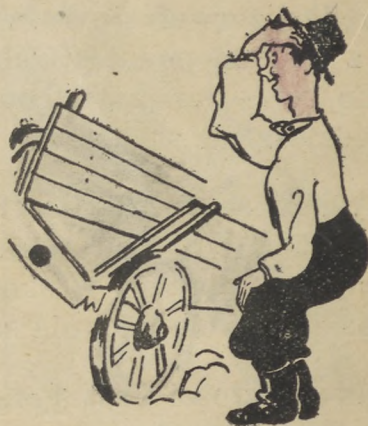
Ba, kto zjeżdża na bezdroże —
Nic mu ostać się nie może,
Żeby nie wiem jak!“

Otworzyła kufer stary,
Wyciągnęła trzy talary
I powiada: „Weź!

Jutro wtorek, dzień jarmarku
Więc świtaniem wstań mój Marku,
Do miasteczka leź!

Tylko nie kręć się jak w młynku:
Kupuj zaraz oś na rynku
I do domu nieś!“

Zastosował się do rady
I zaledwie świt wstał blady
Wyruszył przez wieś. —





Na jarmarku wrze, jak w garze,
 Pozjeżdżali gospodarze,
 Gospodynie też.

Rząd straganów stanął długi
 Przy nich kupców znów rząd drugi,
 Każdy woła: „Bierz!“

Cóż różności w każdym kramiel
 Każda półka aż się łamie —
 Kupuj, ile chcesz!

Ale Marek szuka ośki.
 Słyszy, zda się, głos swej Zośki:
 Śpiesz się, Marku, śpiesz!

Już Markowi nawet ktosik
 Wskazał, gdzie sprzedają osi —
 A było to tuż.

Wtem pomiędzy kramikami
 Spozregł jeden z zegarkami —
 Któż się oprze, któż?!

On też oprzeć się nie umie -
 Więc przystanął w ludzi tłumie...
 Rusz się, Marku, rusz!...

Lecz nie rusza się nasz Marek.
 Nęci jeden go zegarek —
 Kupiłby go już!...

Aż skusiło wreszcie Marka,
Żeby dotknąć choć zegarka...
Więc wyciągnął dłoń.

A pan kupiec uśmiechnięty
Kiwnął głową dla zachęty
I powiada doń:

„Niska cena jest zegarka,
Bo zaledwie pół talarka,
Więcej — Boże broń!

Nie je chleba, ani mięsa,
Raz go na dzień się nakręca
I chodzi jak, koń!”

„Jakże nie wziąć tu zegarka,
Co kosztuje pół talarka,
Toć to prawie grzech!”

Gdy do ręki wziął zegarek,
Przybladł aż z wrażenia Marek,
Zaparło w nim dech —

Uderzyło nań gorąco
Gdy talara ręką drżącą
Dał jednego z trzech.

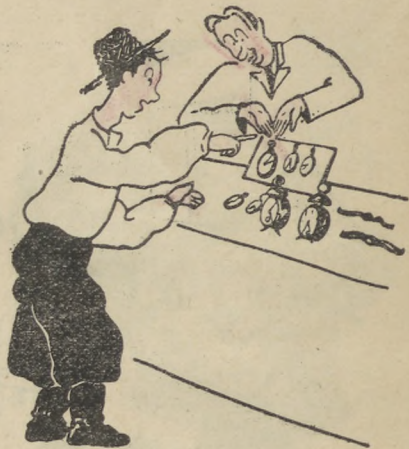
Jak się Zośka dowie, Marku,
O wydanym półtalarku,
To będzie nie śmiech...

Wspomniał sobie Marek Zośkę
I popędził kupić ośkę,
Bo był wielki czas.

Wybrał ośkę dobrej miary;
Chcieli za nią trzy talary, —
Tanio, proszę was!

Gdyby nie wziął se zegarka —
Nie brakło by pół talarka:
Byłoby w sam raz.

Próżno się nasz Marek stara
Utargować pół talara —
Kupiec jest jak głaz.



„Cóżes pan, z księżycyca zleciał?
Chcesz pan ośkę za półtrzecia —
Przecież to nie bał!

Toć oś przecież nie gliniana —
Ani z drzewa proszę pana,
Tylko to jest stal“.

Tak się zeźlił biedny Marek,
Że chciał rzucić swój zegarek
I pójść sobie wdał.

Lecz pomyślał o swej wiosce
I o domu i o Zośce —
I chwycił go żal...

Strach odegnał, westchnął w du-
I do domu swego ruszył — [szy
„Niech będzie, co chce!“

Przedę wsią spotyka Zośkę.
Zośka pyta się o ośkę.
„A, no, — z oską źle...”

Bo kupiłem se zegarek
I wydałem półtalarek —
No, nie gniewaj się...”

Mam nie gniewać się? A może
Mam pochwalić cię, nieboże? —
Widzicie go, he!

Toć nie będziesz chyba przecie,
Z pola zboża niósł na grzbiecie!!!
W Zośce zbiera złość.

„Z takim chłopem trudna rada,
Miał pożytku — to zawada,
Niby w gardle oś.

Ty nie pójdziesz już do miasta.
W piątek pójde ja i basta!
Ty zostań, psia kość!“

Rzeczywiście — w piątek z rana
Zośka kraśnie przyodziana
Poszła kupić oś. —





Na jarmarku wrze, jak w garze,
 Pozjeżdżali gospodarze,
 Gospodynie też.

Rząd straganów stanął długi,
 Przy nim kupców znów rząd drugi:
 Każdy woła: „Bierz!“

Co różności w każdym kramie!
 Każda półka aż się łamie —
 Kupuj, ile chcesz!

Ale Zośka szuka ośki
 Zda się mówi ktoś do Zośki:
 „Śpiesz się, Zośko, śpiesz!“

I już Zośce nawet ktosik
 Wskazał, gdzie sprzedają osi,
 A było to tuż.

Wtem pomiędzy kramikami
 Zobaczyła ten z chustkami.
 Któż się oprze, któż?

Ona oprzeć się nie umie,
 Więc stanęła w kobiet tłumie...
 Rusz się, Zośka, rusz!

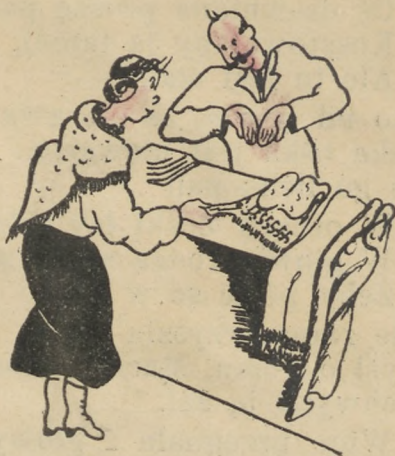
Zośka stoi bez pamięci,
 Jedna chustka tak ją nęci...
 Kupiłaby już.

Przyszedł Zośce koncept pusty,
Żeby chociaż dotknąć chusty —
Więc wyciąga dłoń.

A pan kupiec uśmiechnięty,
Kiwnął głową dla zachęty
I powiada doń:

„Oddam chustkę bardzo tanio,
Chcę talara tylko za nią,
Więcej — Boże broń!

Taka chustka dziś jest w modzie,
Prać ją można w zimnej wodzie,
A mocna jak koń!”



„Taka chustka za talara,
To nie sprzedaż, a ofiara!
Nie wziąć — prawie grzech!”

Gdy do ręki wzięła chustę,
Skrasniały jej lica tłuste,
Zaparło w niej dech.

Trochę się na twarzy mieniać,
Wyciągnęła z worka pieniądz —
„Niech tam idzie, niech!”

No, bo Zośka jest spryciarka
I czwartego ma talarka,
Więc to dla niej śmiech.



Radość aż rozpiera Zośkę,
Żwawo biegnie kupić ośkę,
Bo już wielki czas.

Oś wybrała dobrej miary
I wyklada trzy talary.
Wtem brzmi kupca bas:

„Oś zdrożała, proszę pani,
Pół talara. Nie dam taniej,
Bobym w biedę wlaź.”

Zośka się napróżno stara
Utargować pół talara —
Kupiec jest, jak głąz.



Oś drewniana proszę pani,
Kosztowałyby ją taniej,
Ale to jest stal.

Kto mi powie, że półczwarta
Taka ośka jest niewarta,
To go licho pali!

W oczach Zośki łzy zabłysły,
W głowie rodzą się pomysły,
Żeby pójść se w dal.

Ale zaraz przyszła Zośce
Myśl o domu, Marku, wiosce
I chwycił ją żal.

Więc przegnała z głowy troski
I ruszyła do swej wioski —
„Niech będzie co chce.“

Przed wsią Marek wita Zośkę,
Zapytuje się o ośkę —
A, no, — z ośką źle.

Zbrakło grosza mi troszeczkę,
Bo kupiłam se chusteczkę —
No — nie gniewaj się...

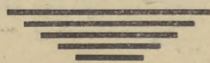
Chciał się drzeć na Zośkę Marek
Lecz przypomniał se zegarek
I powiada: „He!“

Widzisz ano moja Zośko —
Chodziłam dwa dni za ośką,
A kupiłam co?

Ja zegarek, a ty chustę —
Widzisz jakie my łby puste,
Jak nam w głowach pstro.

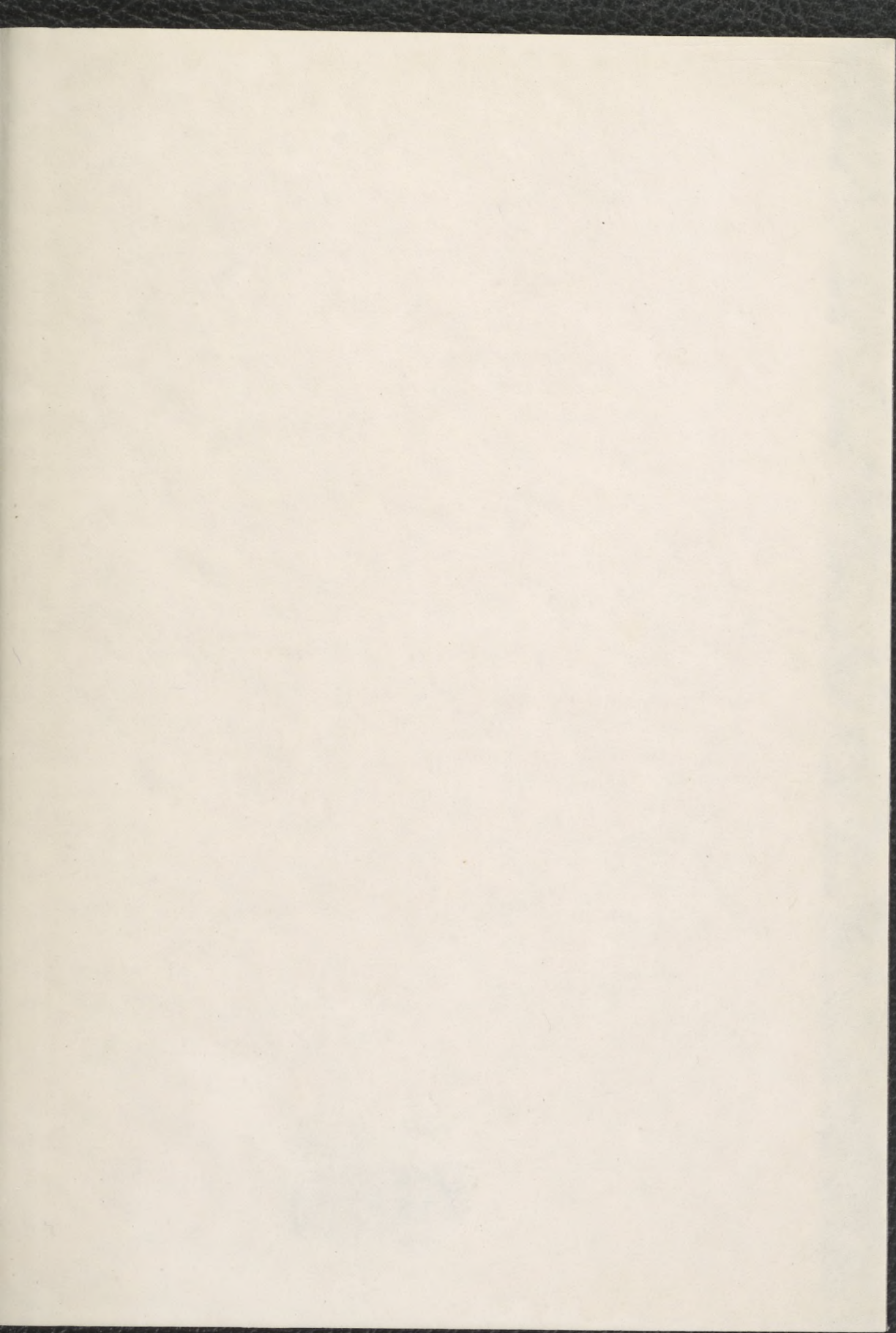
„Ale nic“ — pocieszył Zośkę —
„Jutro razem kupim ośkę
I naprawim zło.“

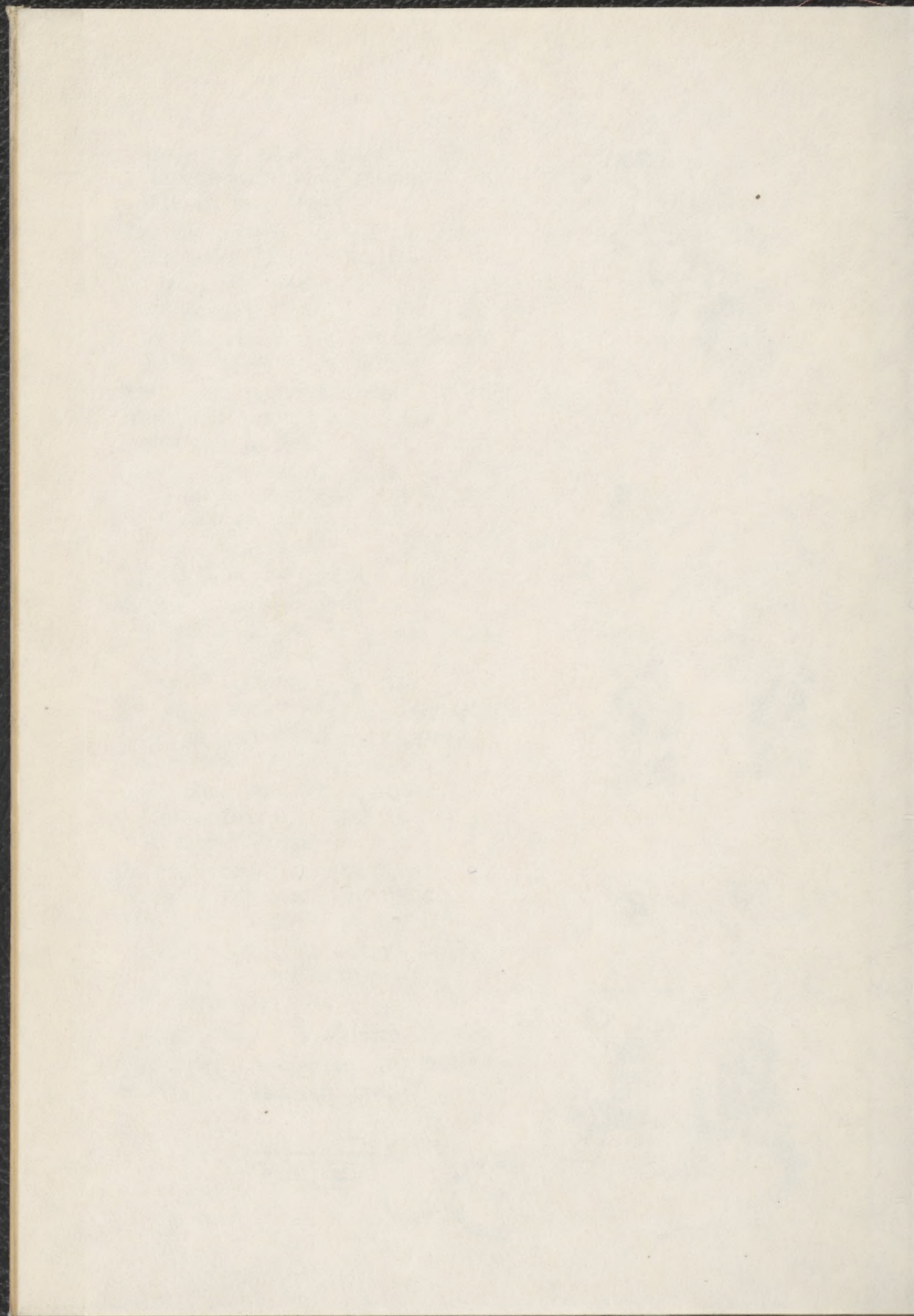
**Odtąd razem z Zośką Marek
Zgodnie chodzą na jarmarek—
Niech lat chodzą sto!**



bar. p. Teresy Łouchi
4.10.93

0





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001021797451



1.4 19.250

